



■ Na estońskich wyspach można oczywiście stanąć „na dziko”, ale można też bez trudu znaleźć też piękne porcki, jak np. Orjaku na wyspie Hiiuma

cyrylicą”, to absolutnie wszyscy byli niezwykle przyjaźnie nastawieni i pomocni.

Gdy wyszło na jaw, że nie mamy banknotów euro o niskich nominałach, pani księgowa chciała nawet nam darować 10 euro opłaty, a kierownik ze swadą i momentami za szybko jak na nasze możliwości opowiadał po rosyjsku o historii portu, o tym jak wypływały stąd statki z żywnością dla głodującego ludu Angoli, o wypadku jachtu, pokazywał zdjęcia itd., itp.

Obiad zjedliśmy w jadalni o wystroju, jaki pamiętamy z... Kamczatki, gdzie byliśmy w 1992 roku. Prosty, pyszny i tani posiłek podała nam nie pierwszej już młodości pani, która traktowała nas jak dzieci, a należność liczyła na... wysłużonym liczydło. Stojący obok kalkulator posłużył jej tylko do wybicia i pokazania nam ostatecznej sumy. Nasza młodość była zachwycona. Prawdziwa egzotyka – szczególnie dla nich!

W samym porcie nie ma specjalnego miejsca dla jachtów. Można przytulić się do burty jednego z kutrów. My wcisnęliśmy się trochę krzywo między stalowy, na oko nieużywany, rybacki stateczek a niewielką motorówkę. Na długości jednego metra mieliśmy kontakt z nabrzeżem i to wystarczyło. Ponieważ przez lata w porcie tym budowano nieduże statki,

można tu zapewne dokonać napraw i zdobyć paliwo. Prądu z lądu nie używaliśmy, podobnie jak wody, ale portowe toalety i prysznice były OK.

Wybraliśmy się na długi spacer po okolicznych lasach i nad morze. Widzieliśmy mnóstwo wodnych ptaków, żyjących w rozległych trzcinowiskach i pożywiających się na płycznach. Prawdziwy raj dla ornitologów. I „zero” turystów!

Jako kolejny cel wyprawy wyznaczaliśmy sobie porcik Orjaku na południowym wybrzeżu Hiiuma, ale silny przeciwny wiatr w okamgnieniu podniósł na płytkiej wodzie strome fale, które mocno utrudniły nam żeglugę. Aby nie męczyć siebie, jachtu, żagli i silnika, zdecydowaliśmy się na zmianę planów i wylądowaliśmy na największej z estońskich wysp – Saremie, w porcie Orissaare.

Specyfiką żeglugi po wodach Estonii jest nakładanie drogi. Wydawałoby się, że odległości między portami nie są zbyt wielkie, ale dokładna analiza mapy pokazuje, że rozległe płycizny upstrzone groźnymi kamieniami uniemożliwiają praktycznie żeglugę po znacznych obszarach. A głębsze miejsca mają zwykle nie więcej niż 3 – 5 metrów. Kierunek naszej żeglugi na podejściu do portu Orjaku wskazywany przez chartplotter różnił się od

zaznaczonego na mapie nabieżnika i to chyba nie dlatego, że nasz elektroniczny gadżet źle funkcjonował, bo w Polsce pokazywał wszystko dokładnie. Nie polecamy tego portu jednostkom o większym zanurzeniu. Na torze podejściowym mignęła nam przez chwilę głębokość 1,6 metra! Być może kawałek obok było głębiej, ale czy na pewno? Tak czy inaczej w tamtych rejonach należy zachować rozsądek, czyli krytyczny stosunek nie tylko do map – zarówno papierowych, jak elektronicznych – ale także do znaków nawigacyjnych. Ostrożność przede wszystkim!

W Orissaare jest całkiem pusto, dopiero przed wieczorem docierają dwie nieduże estońskie łódki. Bojki wyciągnięto już na brzeg, chociaż mamy dopiero początek sierpnia. Nie wszystkie chyba nadają się do cumowania większych jednostek, skoro za kotwicę jednej z nich służy... stary kaloryfer! Podobno w lipcu pojawia się tu więcej jachtów, także obcych bander. Stajemy po wewnętrznej stronie krótkiego, osłaniającego zaciszną zatoczkę pirsu. W głębi jest także drewniany pomost. Tam cumują kolejne jachty. Opłat dokonuje się w pobliskim barze, obsługiwanym przez niemal dwumetrowej wysokości ładną i sympatyczną dziewczynę z szokującymi różnokolorowymi i szpaner-